Nr. 44. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 31. Października 1846.*

Ziemia Spiska. — Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego (ciąg dalszy). — Legenda przez Ad. Am. Kosińskiego (ciąg dalszy). — Słowiczek i wiosna. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.



Leutschau.

Ziemia Spiska.

Był to mały powiat Węgier północnych, do dzisiejszéj Galicyi przytykający, za górą Łomnicą, między rzekami Popradem i Dunajcem, i w którym najznaczniejsze miasto jest Lubowla (Lublau). Roku 1412., Zygmunt, król węgierski, pożyczywszy u króla polskiego, Władysława Jagiełły, summę czterdziestu tysięcy kop groszy pragskich, oddał ten powiat koronie polskiéj prawem zastawném; i został on w tych stósunkach aż do roku 1772.; gdy przy piérwszym podziale Polski, weszła ziemia Spiska w zabór austryacki. W tych stronach, roku 1655, przy zdobyciu Polski koronnéj przez Karola Gustawa, zebrane zostały przez Jerzego Lubomirskiego ostatki wojska polskiego, i tu też skarb katedry krakowskiéj został uchowany. Tędy też powracał ze Śląska do Rusi polskiéj król Kazimierz Waza, gdy, za namową żony i Lubomirskiego, udał się przez góry karpackie do Lwowa.

Nie cały jednak dzisiejszy komitat Spiski należał do Polski; wyjęte były miasta: Leutschau, Kesmark, Kirchdorf i inne. Cała okolica odznacza się pięknościami natury; do nich należy brama w skale przy Straczena. Jeżeli się historyi i mieszkańców zapytamy, kto był szczęśliwszy, czy mieszkańcy ziemi Spiskiéj, należącéj do Polski, czy do Węgier? znajdziemy tylko jednę odpowiedź, iż pierwsi. Królowie obchodzili się bardzo łaskawie z tym krajem, zostawiając mieszkańcom wszystkie przywileje.

Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Z Rozdziału XIX.

Wojaż do góry Athos.

Z pomiędzy wielu znakomitych wojażerów francuskich, z którymi się poznałem w Konstantynopolu, był Pan Texier, który przygotowany był szczególnie do ważnych podróży po wschodzie. Przybywali tam prawda i ruscy, lecz z tymi nie było ładu; przy ciemnocie i wybujałéj dumie Książąt prawie wszystkich i Grafów, nie było tam sposobu do nich się zbliżyć. Poznałem ja tam Dimitra Dawidowa, bogacza niezliczonych skarbów, bo wnuka owego przy Katarzynie II. sławnego Orłowa. Dążąc ten do chluby nauk niby, powziął zamiar zwiedzić górę Athos, a na niéj księgozbiory mnichów Greckich, i uprosił Buteniewa, Posła, bym mu tam towarzyszył. — Wieczorem 6go Września 1835, siedliśmy więc na parochód Austryacki pod nazwą *Marya Dorotea*. Pierwsza to była podróż, którą na morzu Marmora i daléj na Archipelagu płynąć miałem, dla tego też z pełną radością przedsięwziąłem onę. Noc była miła i dziwnie luną księżyca oświecona; przeto, prócz szumu, bryzgów i bijących się wałów o boki statku, nic przed sobą i z boku nie widziałem. Nie prędkom mógł zasnąć, zmrużyć powieki, nim przywykłem do dziwnych niby hojdań kołyski, trzęskości łoża mojego i szumu i wrzasku ciągłego. Lecz na rozświciu świetnie się przedstawiały oku już wydęte, gdzie niegdzie urwiste, płaskie, posiane i puste pola brzegów Azyi i Europy razem, a w krótce ożywiły się one obrazem, nie opodal od Galipoli, dwóch wiosek, pod nazwą: Gałata i Majta, gdzie Turcy po raz pierwszy wkroczyli z Azyi do Europy. Pomiędzy témi wioskami słynęło niegdyś miasto Lizymachia. Zapadło w gruzy niebawem po rozkwitnieniu z trzęsienia ziemi. Mur na 6 mil długi, rozległy, już z czasem zapadł i po nim dziś gruzy wielkie są jeszcze widne. Dosyć jeszcze rano wylądowaliśmy w Dardanelach, czyli inacéj w Czanak-kal'e, t. j. w twierdzy garnków, którą Turcy tak nazywają z przyczyny wielu fabryk tego rodzaju naczynia. Nie jest zbyt wielką ta twierdza, przy któréj dosyć spore miasteczko na płaszczyźnie Azyi się rozpościera; 13 przecież twierdz pomniejszych, usadowionych wzdłuż kanału, po obu brzegach, umnażają onę i sławią. Ponieważ chronił się w Dardanelach lud po domach przed grassującą czumą, zatrzymaliśmy się pod gołém niebem w rozwalinach domu nad wodą, zwłaszcza, że najęła się zaraz łódka z sześciu wioślarzami i tuż w podróż mieliśmy ruszać. Grono nasze składało się z siedmiu osób, z których dwóch ruskich mieli zdejmować plany, jeden służący na nas wszystkich, a reszta do rozbierania gruzyńskiego, greckiego i łacińskiego języka. Pogoda nadspodzianie miła i zarywczy czasami wiatr doprowadziły nas szczęśliwie po dwudziestu kilku godzinach do góry Athos. Łódka zatrzymała się pomiędzy wyłomem skały, port

niby tworzący, na którą wzgrabać się potrzeba było. U stóp szczytu góry, kryjącéj czoło w obłokach, budowa w kształcie twierdzy, dosyć obszerna, murem objęta, zwiastowała nam pierwszy klasztór Greków pod nazwą Ławra. Jeszcze zdala na morzu musiano nas zoczyć, bo tuż przy porcie już nas oczekiwał zakonnik, którego z kształtu wziąłem za mieszkańca Berdyczewskiego. Spytawszy się nas skwapliwie skąd, dokąd i po co przybywamy, i odebrawszy odpowiedź, kto my i że z celem pielgrzymki dążymy, prosił nas grzecznie zabawić na brzegu morza, przyjął paszport z rąk naszych i odprawił się do klasztoru, czepiąc się dość rączo po urwistych i nieogładzonych skałach, skąd powrócił niebawem z dwoma mułami, kazał je objuczyć naszą chudobą i z sobą poprowadził. W ćwierć godziny zdążyliśmy do klasztoru w pocie największym, gdzie starszyzna mnichów już nas oczekiwała przed bramą, witała uprzejmie, powiodła wewnątrz, orzeźwiła z okęską i do spoczynku zachęcała. Budowa ta obszerna, czworoboczna, mieszcząca w sobie cerkiew nie małą, ożywiona jest mnóstwem bujnych drzew cytrynowych, pomarańcz i fig. Fasady drewniane, w rodzaju kiosków tureckich, w mury wlepione, szpecą ją nadzwyczajnie. Sala wielka, usłana z trzech boków tapczanami, w rodzaju zawsze i smaku Turków, służyła nam wszystkim dniem i nocą za wypoczynek i łożę. Uprzejmość bez granic mnichów orzeźwiła nas mocno i dała nadzieję pełną, obejrzeć w całku bogate ich zbiory księgoskładów, o których nie wspomnieliśmy długo, bojąc się nieufności wrodzonéj wschodniemu narodowi; bo wybadywanie ich o jedyny cel podróży naszéj, o bogactwach naszych na ofiary wszystkich klasztorów téj góry, wyjaśniły ich chytrość. Rozmowa była powszechnie w Greckim i Tureckim języku. Uwiadomili nas, że samych mnichów zawiera Ławra sto osób, trzysta zaś drugich, a osiadłych w Skitach, t. j. w domach pustelniczych, gdzie już Grecy, Bułgary, Mołdawianie i Wołochy żyją. Cała zaś góra liczy ich wszystkich w ogólności około pięciu tysięcy, co jednak jest bajką, jak się przekonałem naocznie późniéj o tém w czasie kilko-miesięcznym pożycia mojego pomiędzy nimi. Jest ich tam z górą 10,000, nie licząc w to (*kalojerów*) kleryków, istotną liczbę ukrywają dla haraczu przed rządem Sułtana i przed obcymi. Na zajutrz rano przyzwano nas wszystkich do cerkwi na krótką modlitwę, a szczególniéj dla ucałowania moszczy, t. j. kości świętych, przy których jałmużnę składać potrzeba i to koniecznie i nie mało; bo od tego dalszy szacunek osoby zależy. Na obszernym stole rozstawiono przed nami wielki kawał krzyża Pana Jezusa, łokieć Śgo Jana złotoustego, głowę Śgo Andrzeja pierwozwanego, głowę Śgo Wasila Wielkiego, oraz różne członki innych Świętych. Cerkiew jest wielka, pusta, obszerna i wysoka. Wyszedłszy z cerkwi i klasztoru na wolne powietrze, lubowałem się miłym widokiem płaszczyzny morza, posianego gdzie niegdzie kępami niby wysp stałych. Pochyłość stałego lądu, gdzie przybyliśmy, jest jawnym rajskim ogrodem, na którym nie las gęsty, lecz miła krzewina drzew oliwnych, pomarańcz, cytryn i bujna trawa sterczy, po któréj się błąkały barany, wieprze, osły, muły i kapłony, gdyż żeńskiemu stworzeniu tam żyć nie wolno. Dowodzili mnichy, że dla świętości i czystości miejsca i ptaszki nawet nie parzą się w ich stronach. Prawda, że nie ma kobiet na całéj téj górze w klasztorach; lecz za to pełno ich w *chutorach*, nieco o podal, a dzieci tam co nie miara, które posługą niby i gotowaniem się do stanu duchownego po klasztorach żyją. Poszczą tam niby wszyscy, prócz zgrzybiałych i słabych osób; bo téż przy obfitości najwyborniejszych płodów morza i owoców ziemi łatwo jest pościć i zdrowo. Wszakże przy tym dostatku wywiędłym jest mnich każdy, a bladość twarzy, zapadłe oczy i widoczne omamienie zmysłów dowodzi jasno nierząd. W liczbie wszystkich klasztorów téj góry cztery są najbogatsze, pomiędzy témi zaś Ławra się odznacza. W Ławrze księgozbiór jest największy i zamożny w ważne dzieła drukowane w 15. i 16tym wieku, zarazem w rękopisma na pergaminie i traktujące tylko o religii i greckim ich kościele. Uczone jednak te zakłady nie zwiały dotąd jeszcze grubéj powłoki ciemnoty z mózgów tych mnichów. Grzebiąc pięć dni ciągle w stósach woluminów rozrzuconych, podartych i zdziurawionych robactwem, przekonałem się, że zręczna, sprawna i ciekawa ręka przebrała już one i uniosła co było lepszego. Pomiędzy mnóstwem Alwarów i Kantyczek polskich, znalazłem także pisma polskie, powstałe z powodu prowa-

dzonego przez trzy lata w Polsce procederu, wynikłego z jałmużny przez Polaków Grekom użyczonéj. Datowane są z Poznania i z Kalisza. Że ciemnota panuje pomiędzy mnichami na górze Athos, nie ma dziwu, gdyż nie mają szkół żadnych. Hurtem zatém ćwiczą się tylko, dorastają w ciemnocie, i skoro zamożni, wdzierają się na przełożonych urzędy. Znalazłem także pomiędzy mnichami i rekrutów ruskich. Subordynacya ku przełożonym po klasztorach nie zbyt jest wielką. Owo tego przykład: Dwoma dniami przed naszém przybyciem do Ławry wsadzili mnisi swego Archireja do lochu; bo nie był ich zdania. Loch ten jest w baszcie przy cerkwi; uwięziony siedział tam cicho pogrążony w grobowéj, na łokci 10 głębokiéj, ciemności. Przestępnych karzą oni jeszcze, sadząc na dni lub godzin kilka do kostnicy. Kostnica ta ma jeszcze i inne przeznaczenie; od czasu do czasu rozbierają tam mnisi z największą uwagą kości, wąchając, ażali nie wydają aromatycznéj woni. Gdy im się to zdaje, odkładają one na bok i przeznaczają do cerkwi na moszczy dla celów świętobliwych pielgrzymów. . . . .

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przewóz przy Kazimierzu lubelskim.

(Ciąg dalszy.)

I łódź znowu fale szybuje, i wicher szparko ją niesie, jeszcze kilka chwil, a dopłyniem do brzegu, szepce stérnik. Boże wiedź.

— Dopłyniem, powtórzył radośnie tłum; nadzieja w sercach odżyła, zapomniano o niebezpieczeństwie, o wichrze, o burzy, lecz burza nie zapominała o nikim.

Nowy błysk rozdarł niebiosa, nowy grom zahuczał obok. Wisła się wzburzyła, wicher z podwojoną wściekłością, a przeciwnie kierunkowi łodzi zawył, i uniósł ją na bezdenne fale rzeki; a gdy sternik opór chciał stawić, rudel pękł mu w ręku, i z rąk przewoźników wyśliznęły się wiosła.

To wszystko było jednéj chwili wypadkiem.

Co się działo w sercach podróżnych, każdy snadno zrozumie, opisać tego nie sposób.

Któryś z przewoźników poszepnął:

— Boże! miéj nas w swojéj opiece; o staje drogi daléj, a w kierunku prędu rzeki, stérczą pod wodą opoki; gdy łódź w nie uderzy, w drobne kęsy ztrzaska się.

Szept to był cichy, a jednak posłyszeli go wszyscy, niby każdemu zosobna poniesiony był w ucho.

I nie zważając na świst wichru, ryk fali, piorunów trzask, wszystkie oczy zwróciły się ku fatalnym opokom, o których wspominał przewoźnik; te opoki, niby szczątki zniszczonego mostu, ciągnęły się wszerz rzéki; ich szczyty ledwie ze źdźbłami występowały nad fale, a jednak były dojrzane od wszystkich.

A nie tylko że były dojrzane, lecz owszem powiększone trwogą, nabiérały olbrzymiego rozmiaru, wzrastały w niebotyczne wzgórza, w nieprzebyte wały; o ich szczyty, tak się zdawało podróżnym, wspiéra się czarna chmura, z ich brudnych czeluści wyskakują gromy, obwija je, niby piastunka w powijaki dziecko, w kłęby płomieni, ognista błyskawica.

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków, zmiłuj się nad nami! jednogłośny był wykrzyk podróżnych.

I Bóg się zmiłował.

Na łodzi, właśnie w jéj środku, stanął jakiś młodzian, lat 30 mniéj więcéj. Średniego on był wzrostu, ubiór skromny, zwierzchnia szata modréj barwy, fałdzista, włos jasno-długi, miękki, rozdwojony nad białém a szerokiém czołem, oko niebieskie, spojrzenie dziwnego uroku, nieco tęskne, lecz miłe, spokojne, poważne.

I gdy niém powiódł na okrąg, większa część podróżnych wzdrygnęła się, a nie z trwogi, nie z troski, lecz dla niezbadanéj siły pociechy, jaka z niego w ich dusze pełnym strumieniem zabiegła.

I niby czarodziejskiego zrządzenia wolą, najwięcéj trwożliwi nabrali otuchy; najgłośniéj rozpaczający umilkli.

I co więcéj, jakby oczekując co rzeknie cudowny młodzian, ucichł grzmot, wicher ukoił się i błyskawica nie majaczyła po czarnéj chmurze, ale niby skamieniała w połowie biegu, zawiesiła się ponad głową nieznajomego, obwinęła ją tym blaskiem, jakim malarze otaczają głowy boskich wybrańców.

A wszyscy pojęli, że chce coś mówić i słuchali w milczeniu, obawie, nadziei.

A jedno jeszcze wspomnieć winienem.



Kesmark.

Młodzian ukazał się tak nagle, niespodziewanie, że nikt nie wiedział, skąd się on wziął.

I dziwna rzecz, wszystkim on był znajomy, i nie był.

Znajomy, bo każdy snadno przypomniał sobie rysy jego twarzy, jego postać, ubiór, spojrzenie nawet, ale każdy naprózno łamałby sobie głowę, gdzie i kiedy go widział, kto on, jakie nazwisko.

Szlachta zatém brała go za kogoś z wieśniaków lub mieszczan; mieszczanie i wieśniacy, za jednego z szlachty.

Młodzian zaś, jak wspomniałem, stał w środku łodzi, głową nie przewyższał nikogo, otoczon był mnóstwem ludzi, a jednak jasno przed sobą tuż widzieli go wszyscy; głos jego był cichy, spokojny, a wszyscy do najdrobniejszego słówka słyszéć go mogli.

Rzekł zaś:

— Ja wam zmiłowanie przynoszę.

Zmiłowanie! zmiłowanie! machinalnie powtórzył lud.

Nieznajomy zszedł z swego miejsca, postąpił na brzeg łodzi i zstąpił na fale rzeki.....

Nim zaś zstąpił, zwrócił się do podróżnych, a mówił:

— Zaprawdę powiadam wam, kto ma wiarę, nie zginie; kto ma wiarę pójdzie za mną, a ocalon będzie.

I cud: suchą nogą, niby po kamiennéj posadzce świątyni, stąpał śmiało po bezdeni rzeki.

I znowu, nie w możności jest mi skréślić uczuć, jakie wrzały w sercach wszystkich podróżnych.

Było to dziwne jakoweś zajęcie, oślepienie, że się tak wyrażę, wszystkich władz sądu. Widziano cud, a brano go za rzecz tak prostą, tak zwyczajną, że wszystkim zdawało się, iść po wierzchu wód rzecz równie łatwa i pospolita, jak przechadzka po twardéj opoce, lub po bitéj drodze.

I że takie było cudowne przekonanie większéj części podróżnych, że mało kto do rozsądku odwoływał się, a zachował władzę rozwagi; że wreszcie groźne a blizkie niebezpieczeństwo nie dawało innéj nadziei zbawienia, nie dziw, że dwóch czy trzech wieśniaków posłuchało głosu nieznajomego, a zstąpiło na wodę.

— Zbawieni będziecie, boście duchem ubodzy, rzekł on im.

I wieśniacy bezpiecznie stąpali po wodzie.

Za nimi poszli inni, mówiąc:

— Toż istotny cud, Bóg się nad nami widno zmiłował.

A nieznajomy odparł im:

— I wy zbawieni, bo wierzycie w miłosierdzie niebieskiego ojca.

Kiedy zaś owa gromadka była na wodzie, żołnierz sternikowi rzekł:

— A ty bracie czy pójdziesz?

— Czemuż nie, inni idą a nie toną, więc i ja nie utonę...... choć na moje zbawienie trzydzieści lat z wodą znam się, a nic nie widziałem równego.

Wstał, wszedł na rzekę, grząsł w niéj po kostki.

— Ciężka to jednak przechadzka, szeptał więc.

— Ciężka, bo nie z natchnienia własnego, lecz za przykładem innych poszedłeś, odparł cudowny młodzian; przecież, że nie lenisz się za wierzącymi wierzyć, za dobrymi dobrą drogą iść, zbawiony będziesz.

Był zbawiony i żołnierz, i żebrak, i inni z gminu, a nawet dwóch łotrów w dybach.

Gdy ci wstępowali na wodę, młodzian groźnie spojrzał im w oczy.

— A wyż grzesznicy, nie boicie się pójść? nie lękacie się, aby wasze zdrożności pociągnęły was w otchłań rzeki?

Upadli na kolana łotrzy: — Boże! Panie! przebacz. My grzeszni, to prawda, ciężkie nasze przewinienia, ale skrucha szczera i poprawić się obiecujem.

Bili się w piersi, moja wina, szepcąc; nieznajomy rozpogodził czoło.

— Wstańcie, rzekł, a chodźcie za mną, miłosierdzie ojca i dla grzesznych bojących się jest.

A gdy usłyszała te słowa gaszka niewiastka, rzewnemi zalała się łzami.

— Boże, Boże, kiedyś tym łotrom przebaczył, to i mnie przebacz, boć i ja jeżlim grzeszyła, to i żałować za grzechy chcę, a sprosności porzucę.

Skinął nieznajomy na nią: — Większe były grzechy Magdaleny, a zmazała je łzami pokuty; i ty łzy toczysz, a obiecujesz poprawę, zbawioną więc będziesz.

I niewiastka po wodzie bezpiecznie szła.

W niższéj części łodzi sama już tylko biédna wieśniaczka z dziécięciem na ręku została.

— A ty czemu nie idziesz? nieznajomy zapytał.

— Ja, panie, lękam się.

— Lękasz się? — nie masz więc wiary i przykładu z innych nie bierzesz?

— O! ja mam wiarę, ja wiém, że ty mnie, gdy zechcesz, zbawisz Panie; nie o siebie też boję się, lecz o to moje dziecko.

— Porzuć tę obawę, a na wodę zstąp.

I niewiasta zstąpiła, ale już za piérwszym krokiem grzęznąć zaczęła, a biadała:

— Dziécię, drogie moje dziécię, ono zginie!

— Nie zginie, młodzian rzekł, drobnę chłopię na ręce wziął; uśmiechało się ono do niego, drobne wyciągało rączyny. Pocieszyła się matka. — Już teraz łatwo mi iść, bo gdyś Panie wziął me pacholę w opiekę, nic mu się złego nie stanie.

Gdy podobnie wszystek gmin był już na wodzie, nieznajomy zwrócił się ku innym podróżnym.

— A wy ludzie, zostaniecież na łodzi, lub czy chcecie pójść za mną?

To zapytanie poruszyło wszystkich, piérwszy zagrodowy szlachcic skoczył na nurt rzeki.

— Panie, rzekł, zbaw mnie, boć ja wierzę tobie, zbaw, bo gdybym zginął, w coby się obróciła moja chudoba, czeladź, którą karmię pracą rąk moich, drobne dzieci i zgrzybiała matka, co odemnie jednego w swych troskach a niedoli pomocy wygląda.

Młodzian z dobrotliwym uśmiéchem spojrzał na niego: — Zaprawdę, poczciwyś ty człowiek, głodnyś, a z głodnymi kęsem chleba się dzielisz; biédnyś, a skarbów cudzych nie pożądasz, i dobryś syn też; dla tego mówię przyjdzie ten czas, kiedy świat cały sprawiedliwość ci odda, kiedy będziesz wielkim jak przed Bogiem, tak i przed ludźmi, i światło twoich cnót pod korcem ukryte nie będzie i matka twoja dla twéj poczciwości nie zginie.

Wyszedł na nurt rzeki i biédny mieszczan i szedł po nim bezpieczny, lecz drżał febrycznie, straszny przed sobą widok miał.

Jego kolega, ławnik, wyszedł także z łodzi, ale zaledwie parę kroków postąpił, utonął.

Utonął, bo pomyślał, patrząc, jak nieznajomy wiódł za sobą po wodzie podróżnych.

— Zaiste, ten człowiek wielkie cuda robi, a rzeczy niesłychane nigdy, jakem ławnik i urzędnik magistratu wartoby się zapytać, co zacz on? a czy to czasem nie jaki czarnoksiężnik.

A nieznajomy w téj chwili bacznie spojrzał mu w oczy.

— A coś myślał ławniku?

Mieszczan ukłonił się nizko: — Ja, panie, myślałem, żeś ty wielki przed Bogiem i że ci niby Świętemu warto ołtarz postawić.

W duchu zaś dodał:

— Przecież kiedy przyjdziesz do miasta, na przesłuch cię wezmę, ba i na tortury, a dowiem się, ażali w tobie szatańskich sztuk nie ma; zasłużę się tém przed magistratem, ba i przed księdzem biskupem, bo dowiodę, jak dbały jestem o publiczne dobro.

— I to rzeczywiście tak myślisz jak mówisz, pytał daléj, a już surowo, młodzian; pomnij, że Bóg, jak w ewangielii stoi, zbawił celnika, grzesznikowi, zabójcy, przebaczył, ale Faryzeusza hipokrytę zatraceniu oddał.

Ławnik ukłonił się znowu, w pierś pokornie uderzył, trzeba kłamać, pomyślał: bo gdybym prawdę wyznał, rozgniewałby się i nie wziął z sobą, głośno rzekł więc:

— Pan Bóg czyta w głębi serca mojego.

Ledwie rzekł, utonął, a nieznajomy groźnie, a smutnie przemówił:

— Hipokryzya zabiła go.

Utonął doktór filozofii, professor.

Poszedł on za innymi, a mruczał:

— Według zasad fizyki, to tylko ciało może się na powierzchni wody utrzymać, którego ciężkość gatunkowa mniejsza jest od téj saméj objętości płynu; że zaś moje ciało cięższe jest, *ergo* tedy powinienem utonąć.

I tonął, ale tonąc pomyślał:

— Są przecie cuda na ziemi i niebie, o których ani się śniło nam filozofom, i dzisiejszy wypadek może podobnym jest cudem.

Wypłynął wtedy.

Zaledwie przecież bezpiecznym ujrzał się, znowu zagrzązł w uczone wnioski i powątpiewanie, zagrzązł zatém i w wodzie; gdy to się kilkakrotnie powtórzyło, utonął nareszcie.

— Rozum go zgubił, nieznajomy poszepnął.

Utonął i lichwiarz plenipotent, choć, aby się od zguby ocalić, kościół obiecał wystawić i hojne ubogim wysypać jałmużny; utonął i kupiec, bo nie chciał się rozstać z swemi workami pieniędzy, a te za sobą otchłań rzeki pociągnęły; utonął i jurysta, bo mu ciężyły łzy

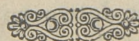
wdowy i łzy sieroty, powszechne przekleństwo; a gdy ci przyciężają łzy i słuszne przekleństwa, lękaj się człecze, boć ich nie nagrodzisz złotem, nie zmażesz snadno pokutą....

(Dokończenie nastąpi.)

Słowiczek i wiosna.

Przyszła wiosna, luba wiosna i wszędzie zielono,
Wyszła Zosia się przechodzić na przyrody łono,
A w gaiku nad rzeczułką słowiczek miłosny
Śpiewał cicho pieśń swéj lubéj,
Śpiewał pieśń do wiosny.
I myśliła sobie Zosia: Ach! przyjdą te czasy,
Gdy słowiczek pieśń wyśpiewa, ciemne rzuci lasy.
Ale skoro roczek minie, znowu wiosna wróci,
To słowiczek znów przyleci i piosnkę zanuci.
Ale tutaj w mojém sercu, tutaj niemasz wiosny —
Ach dla niego już nie zabrzmi nigdy hymn radosny!
Bo słowiczka, co mu śpiewał, dzisiaj ach! już nie ma.
I na wieki wiosna przeszła, pozostała zima.
Wiecznie, wiecznie brzmi mu piosnka, lecz piosnka żałoby,
Już dla niego nie zielono, wszędzie tylko groby!

M. E. S.



№168. *Z Wielkopolski.*

Czém najładniéj grają do domu wołają: Pójdź do domu dzieweczko dzieweczko pójdź do domu dzieweczko.

Text do *Nru. 168.*

1. Czém najładniéj grają,
   Do domu wołają:
   Pójdź do domu dzieweczko, dzieweczko,
   Pójdź do domu dzieweczko.

2. A ja jeszcze myślę,
   Że się jeszcze wyśpię,
   Jeszcze do dnia daleczko, daleczko,
   Jeszcze do dnia daleczko.

3. Co to za dziewczyna,
   Co to za jedyna,
   Co tak ładnie tańcuje, tańcuje,
   Co tak ładnie tańcuje.

4. A ja sama widzę,
   Że tak ładnie idę,
   Każdy mi się dziwuje, dziwuje,
   Każdy mi się dziwuje.

(*J. J. Lipiński*, P. I. W. str. 162.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)